

Barbara Skarga

O BEZWSTYDZIE*

Bezwstyd: pojemne to słowo i stare, raczej o znaczeniu kulturowym niż moralnym; jak stare, wystarczy przypomnieć Biblię. Bezwstydni byli Adam i Ewa w raju, gdyż nie wstydziła się swej nagości. Bezwstydny w tym wypadku to niewinny, to czysty, to nie znający ani zła ani wstydu, a jednocześnie ten, kto obnaża co niegodne ukazania. Właśnie to drugie znaczenie, nie niewinności, lecz obnażania, utrwaliło się z pojęciem bezwstydu przez wieki, i to z całą jego dwuznacznością. Nigdy nie było bowiem jasne czy bezwstydnicą jest kobieta, która ośmieliła się obnażyć nagie piersi, czy obsesyjny mnich, który podpatrzył i doniósł św. Inkwizycji, widząc w tym niewinnym gościu obecność samego diabła. Obnażać siebie czasem w śmiałości swej prawdy, czasem przeciwnie – w grzechu, w popełnionym złu, i obnażać kogoś w tym, co powinno być przed oczyma natrętów zakryte – takie są dwie twarze bezwstydu.

Bezwstyd to brak wstydu, a wstyd łączy się natychmiast z winą, wina z grzechem, ze złem, co zaś należy uznać za zło w jakimś określonym przypadku, nie jest do końca jasne. Wyobrażenia się zmieniały w naszych dziejach, różne klasyfikacje złych czynów konkurowały ze sobą, że wspomnę tylko klasyfikacje Arystotelesa, Cycerona, Piotra Lombarda lub Dantego. Nawet wskazania Dekalogu są trwałe. Zapuszczać się w tę pogmatwaną historię wierzeń, przesądów, bogobojnych deklaracji i okrutnych wyroków nie mam najmniejszego zamiaru. Trudno byłoby nazwać bezwstydnikiem rycerza krucjaty, chełpiącego się ilością obciętych tureckich głów i nie była bezwstydna kurtyzana, podążająca z podniesioną głową do sypialni władcy. Inne to były obyczaje i zostawmy historykom ich opis i ocenę. Nas dziś interesują współczesne przejawy zjawiska, a te bywają rozmaite, niektóre są wstrząsające, niektóre budzą co najwyżej obrzydzenie.

Chcę wpięrow zwrócić uwagę, że bezwstyd nie jest prostym przeciwnikiem wstydu. Wstyd jest zawsze własny, osobisty. Pojawia się wbrew woli, często bez

* Artykuł ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” 1998, nr 46.

należytej refleksji, a mimo to ma siłę odebrać cały spokój. Od wstydu nie można uciec, pojawia się i męczy, gdyż natychmiast jasne są nam jego racje. Przeżywamy go najczęściej w samotności, bez świadków, nie lubimy się do niego przyznawać. Wstydę się przed samym sobą, wstydę się swego czynu, myśli, postępowania, słabości, gdyż nie są one zgodne z moimi wartościami. Wstyd jest mój, słuszny lub niesłuszny, sam to oceniam, sam to czuję, choć inni nie wymagali, bym się wstydził i mogą nie dostrzegać gnębiących mnie wyrzutów sumienia. Nikt natomiast nie ma mocy nakazać mi wstydu. Społeczność może mnie oskarżyć o winę, to jej prawo. Może też, w następstwie tej winy, zawstydzić mnie, starać się wywołać wstyd. Gdy mimo jej nacisku wstydu nie czuję, nazywa mnie bezwstydnikiem. To jej ocena. Wstyd zatem jest kategorią egzystencjalną. Bezwstyd kategorią społeczną. Jest to społeczna opinia wydana na podstawie wartości, norm, nakazów i zakazów tej społeczności właściwych. A społeczności, zwłaszcza niewielkie, mają to do siebie, że są mało tolerancyjne, rzadko otwarte, ferują więc wyroki, niekiedy niesprawiedliwe, często głupie. Przykładów nie należy szukać daleko. Przeczytałam niedawno, że bezwstydnikami są ci przedstawiciele kultury w Krakowie, którzy domagali się uszanowania uczuć Żydów, dotkniętych prowokacyjną akcją na oświęcimskim zwirowisku.

O bezwstydzie należy mówić z wielką ostrożnością. Tam, gdzie chodzi o normy obyczajowe, a tym bardziej o wartości, zawsze będą się pojawiały konflikty i wobec nich stajemy dziś niemal na każdym kroku. Są jednak pewne wartości niezbywalne, podstawowe, takie jak życie ludzkie lub sam człowiek. Nie mam więc wątpliwości, że bezwstydny jest ten, kto popełnił zło, zabił i nie żałuje, a co więcej, drwi sobie z naszego zgorszenia. Jest on ekshibicjonistą zła. Popełnił je, ale się nie wstydzi, nie ma wyrzutów sumienia, lekceważy swój czyn, lekceważy prawa, które ten czyn za zły uznają, lekceważy opinię innych ludzi. Jest bezwstydny, jak ten osiemnastoletni chłopak, który zamordował i chwalił się, jak był zręczny i pomysłowy w zabijaniu. Kiedy się spotykamy z takim faktem, ogarnia przerażenie. Stoimy bowiem wobec zła w jego czystej postaci, zła, które z nas kpi, kpi z całego z trudem budowanego świata kultury. To zło świat ten szcerbi, więcej – rujnuje i odsłania kruchość jego podstaw.

Ktoś powie, że to patologia. Ale ta patologia zakreśla zbyt szerokie kręgi. I nie wolno nam nie zadawać pytań, gdzie leżą źródła tego braku skruchy, która w tym wypadku wydaje się naturalna, dlaczego tak się dzieje, kto tu zawinił, w czym? Skąd płynie obojętność wobec czyjejś śmierci, czyjś cierpienia? Czy wolno zwalić winę tylko na media, czy jest to głębszy proces? Faktem jest tylko, że z takim bezwstydem spotykamy się bardzo często. Nie o nim jednak chcę mówić. Zresztą nie czuję się na siłach; chcę powiedzieć parę słów o takim bezwstydzie, który nie jest aż tak drastyczny. Najczęściej jest on następstwem czynów, które na pozór nie są złe, a w każdym razie trudno byłoby je tak jednoznacznie określić. Są jednak niegodne.

Słowo „niegodny” niemal zniknęło z naszego słownika, a szkoda, odnosi się bowiem do spraw ważkich. Używa się go w różnych znaczeniach, wszystkie w jakiś sposób są zależne od definicji godności. Juliusz Domański sięgając do Cyncerona, przedstawił kilka takich definicji¹. Z niektórych skorzystam, a więc przede wszystkim z tej uwagi, że korzeń etymologiczny *dignitas* prowadzi do obszaru pojęć raczej estetycznych niż antropologicznych i etycznych, co nie znaczy, aby się tu na estetyce kończyło. Stąd wniosek, że niegodny czyn to taki, którego się czynić nie godzi, gdyż narusza ład, stan harmonii naszego bycia, o ile w ogóle taka istnieć może. To niepięknie bić leżącego, mówić źle o nieobecnym, skarżyć się, używać argumentów *ad personam*, popełniać niedyskrecję itd., itd. Nie są to czyny i zachowania, które można podciągnąć pod kodeks karny, nie stanowią podstawy dla oskarżenia o brak moralności, a jednak jesteśmy świadomi ich niestosowności. Czyn niegodny to także taki czyn, który jest „nie w czasie”, a więc nieodpowiedni do miejsca, okoliczności, osoby. On razi nasz smak. Narusza także normy współżycia, normy niepisane, czasem nawet zbyt tradycyjne, dla niektórych wręcz przestarzałe, wywodzące się z rycerskich kanonów, ale jakże piękne i jak ułatwiające społeczne życie.

Sam jednak przymiotnik „niegodny”, wskazuje na to, co najistotniejsze. Czyn niegodny narusza ludzką godność, przeciwko niej zazwyczaj występuje, jej ponizenie ma na celu. Dlatego, gdy go spotykamy, czujemy obrzydzenie, a w sprawcy gotowi jesteśmy uznać człowieka bez wstydu. Prasa polityczna roi się od takich wypowiedzi, które uwłaczają czyjejs godności. Pełno ich w różnych demagogicznych wystąpieniach, nawet w merytorycznych z pozoru dyskusjach, w których – jak to widać – nie o rzecz chodzi, lecz raczej o zniszczenie przeciwnika. Czasem jakaś mała aluzja, czasem drobna, niekoniecznie rzetelna informacja, wyolbrzymiona, rozdęta, czasem dezinterpretacja stanowiska i słów, zaiste bogactwo tego politycznego oręża jest niewyczerpane i tak dalece wydaje się on już normalny, że ci, co nim operują, nie czują wstydu, są bezwstydni.

Zostawmy jednak politykę, gdyż nigdy nie była święta. Cała jej historia jest pełna niegodnych czynów, pełna bezwstydnie się chełpiących swą zręcznością władców. Tu często bezwstyd łączy się z cynizmem. Nie chcę twierdzić, że wszyscy politycy muszą się uciekać do czynów niegodnych, tak być nie musi. Ale wielka fala zawsze niesie z sobą pianę. Zresztą zwykłe życie społeczne nie jest także wolne od bezwstydu. Dziś zwłaszcza, w naszym pragmatycznie nastawionym świecie, wobec relatywizacji wszelkiego rodzaju wartości, jest on obecny niemal na każdym kroku, tak że przestajemy być nań wrażliwymi. Różne niegodne czyny wydają się być czymś zgoła naturalnym. Dobrze o tym wiemy, że bezwstydna jest rzeczą zaglądać sąsiadowi do garnka. Każdy człowiek ma prawo do swej prywatności, do prywatnych opinii, kontaktów, do

¹ J. Domański *Z dawnych rozważań o marności i pogardzie świata oraz nędzy człowieka*, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 1997.

swych marzeń i przyjemności, jak i do cierpień przeżywanych w samotnym skupieniu. Ma też prawo do tego jedyne miejsce, jakim jest jego własny dom, gdzie może być u siebie, sam z sobą, bez ciekawskich oczu. Dom to schronienie, przystań, ucieczka przed natręctwem, miejsce, do którego się wraca i miejsce intymnych wzruszeń. Każdy pragnie mieć dom, mało kto go ma. To prawda, że czasem kryje w sobie piekło. Rodzi się więc problem granic prywatności. Kiedy je wolno przekroczyć lub wręcz przekroczyć trzeba? To wielki problem naszych czasów. Jest rzeczą oczywistą, że zbrodnia nie może korzystać z azylu prywatności. Ale nie o nią i jej skrywanie tu chodzi.

Myślę o ciekawości nienasyconej gawiedzi. Gawieź to nie jest kategoria socjologiczna, to nie jest klasa czy warstwa, to raczej sposób bycia, niewybredny, ale rozpowszechniony. Gawieź jest ciekawa. Bez ciekawości nie byłoby wiedzy, to prawda, lecz zainteresowania gawiedzi nie skupiają się na zjawiskach tego świata i możliwościach ich zrozumienia. Ona śledzi bezwstydnie życie innych, a zwłaszcza tych możniejszych od siebie. Ileż jest więc w naszych czasach tej ciekawości podejrzliwej i natrętnej, przed którą niegdyś broniły mury i strażę, a dziś jest ona panem i potrafi się pastwić nad swym przedmiotem. Przed tą ciekawością nie ma dziś obrony przy obecnie dostępnych środkach technicznych. Teleobiektyw to nie dziurka od klucza. Pod tym względem orwellowski świat w pełni się zrealizował. Każdy może mieć w swej sypialni telewizyjne oko, o ile tylko zaspokojenie ciekawości leży w czyimś interesie.

Gawieź zawsze miała swoich idoli, których wielbiła i lubiła podglądać. Gawieź zawsze kochała widowisko, choćby było najbardziej ponure. To już Plutarch pisał, że wścibstwo niezbyt chętnie zajmuje się sprawami wesołymi, lecz woli oglądać tragedie. „Toteż, gdy ktoś opowiada o weselu, o uroczystej ofierze, o honorowym orszaku, wścibski człowiek jest słuchaczem obojętnym i nieuważnym... Ale jeśli usiądzie przy nim ktoś, co ma do opowiedzenia o zgwałceniu dziewicy albo o wiarołomstwie żony, albo o przygotowaniach do procesu, albo o kłótni między braćmi, to on ani myśli drzemać”, najchętniej zaś „uszy wścibskiego włączają krwiożercze opowieści o wypadkach ohydnych i przynoszących zmagę”.

Cytuję Plutarcha i widzę, że pod tym względem niewiele się w naszym życiu zmieniło. Znamy, co prawda, inne czasy, odległe czasy greckie, gdzie widok śmierci i zbrodni raził estetyczne gusta. Klitajmestra zabija Agamemnona za sceną, także Medea swoje dzieci, i nikt nie ogląda wiszącej Jokasty lub trupa Polineika. Czyżby jedynie tragedia antyczna potrafiła wznieść się na takie wyżyny? Ten kanon estetyczny szybko został odrzucony. Dziś śmierć nie tylko ciekawi, ona bawi. Film bez kilku zmasakrowanych trupów szybko schodzi z ekranu. Co więcej, ta chorobliwa ciekawość gawiedzi zaraża elitę, które pozbyły się skrupułów i bez oporu usiłują przeniknąć to, co najbardziej intymne. Na taśmach utrwała się cały przebieg porodu lub chwile autentycznej

agonii. Wszystko staje się przedstawieniem, tym ciekawszym, tym bardziej pożądanym, im bardziej jest intymne lub wręcz wulgarne. Zniesienie rozmaitych społecznych tabu, tego co sobie cenimy, odrzucenie hipokryzji, która zawsze była rzeczą wstrętną, chyba nie muszą i nie powinny prowadzić do nurzania ludzi i ich uczuć w bagnie. Wścibstwo było zawsze, dziś jednak trzeba przedmiot ciekawości nie tylko opisać, podać informację, lecz przede wszystkim pokazać, nadając mu dobrze wyreżyserowaną formę. Żadnych hamulców tu ciekawscy nie mają. Są bezwstydni.

Bezwstyd naszych czasów nie da się wyjaśnić tylko w estetycznych i moralnych kategoriach, choć się z nimi wiąże. Jego korzeni trzeba szukać gdzie indziej, tak zresztą jak i całej cywilizacji spektaklu, która dziś panuje. Nie wdając się w analizy chcę tylko zaryzykować twierdzenie, że owa żądza spektaklu rośnie wraz z demokratyzacją społeczeństw, a przede wszystkim z rozwojem technik informacji. Większe możliwości jej zdobycia rozbudzają pragnienia, zaspokojenia ciekawości. Ludzie są ciekawi, chcą widzieć kto i jak umarł, kto z kim przebywa, z kim śpi, co je, jak mieszka, skąd ma pieniądze; jeżeli cierpi, to dlaczego, jeżeli się cieszy, to co się za tą radością kryje itd. Każdy sekret budzi chęć jego odkrycia. To bowiem, co zasłonięte rodzi podejrzenie. Właśnie podejrzenie jest dziś jednym z najsilniejszych motorów nie tylko owej ciekawskiej gawiedzi. Demokracja domaga się jedności życia politycznego i społecznego. Jest to zasada na pewno słuszna, ma jednak także swą negatywną stronę. Skoro bowiem jawność obowiązuje, nie powinno się kryć nawet najbardziej intymnych momentów życia, zwłaszcza ludzi na świeczniku. Jeżeli ktoś coś skrywa, nie czyni tego bez przyczyny, może więc czymś nam grozi, może coś knuje. Każdy, kto doszedł do sławy, pieniędzy lub stanowiska, jest więc otoczony siecią podejrzeń. Lud dostrzega wszędzie maski i żąda ich zdarcia.

Prócz podejrzenia jest jeszcze zawiść, stare ludzkie uczucie, nienawistne, jak je określił pięknie Plutarch. A zawiśtnik, pouczał nas z kolei Platon, wyobraża sobie, „że aby wyróżniać się od innych, oczerniać trzeba innych”. By oczernić, trzeba zdobyć odpowiednie informacje. Dziś zaś zdobyć je łatwo i łatwo odpowiednio spreparować.

Podejrzliwość, zawiść – to zwykłe ludzkie cechy, lecz w tej bezwstydnej żądzy spektaklu tkwi coś więcej. Jest rzeczą oczywistą, że spektakl, którego aktorami są żywi znani ludzie, choć występują w nim wbrew woli, silniej podnieca. To nie iluzja, fikcje, to twarda rzeczywistość, która na próżno się kryła, to śmiałe obnażenie. To także forma uczestnictwa w tym wielkim teatrze. Znika bowiem kurtyna dzieląca widza od sceny. Co więcej, widz ma satysfakcję, gdyż zyskuje moc ingerencji w sztukę. Zna jej didaskalia, zna to, co przebiegało poza kulisami, staje się zatem panem, władnym ubóstwić lub zdeptać. Od jego woli, woli widza, zaczyna zależeć przebieg dramatu. Zaiste, ogromna to satysfakcja. Zapomina się tylko o tym, lub po prostu nie bierze się pod uwagę, że czyniąc

spektakl z czyjeś życia, odbiera się mu nie tylko prywatność, lecz także wolność. Spektakl tę wolność gwałci. Któżby się jednak pozbawił spektaklu, któżby zrezygnował z uciechy? Istnieje zresztą ideologia, która nie tylko tę niedyskrecję usprawiedliwia, lecz wręcz ją propaguje, gdyż jest paradoksalnie konsekwencją najpiękniejszych zasad demokracji. Wszakże lud ma prawo wiedzieć lub żądać informacji. On jest suwerenem i decyduje o losach wszystkich obywateli. A że środki tej informacji są coraz potężniejsze i nie stawiają sobie żadnych granic, to trudno, lud się cieszy i napawa swe oczy spektaklem.

Proszę czytelnika, by nie myślał, że jestem przeciwko demokracji, choć przykro mi patrzeć, jak niekiedy demokracja zmienia się w rządy gawiedzi. Proszę nie myśleć, że chciałabym wprowadzenia jakichś praw ograniczających informację, czegoś w rodzaju cenzury. Nic z tych rzeczy. Nie żądam zniszczenia gazet, teleobiektywów i internetu, znakomitych osiągnięć naszej cywilizacji technicznej. Zresztą byłby to pomysł nie do zrealizowania. Biegu świata nie da się zatrzymać. Tak tylko jest, że każde ludzkie osiągnięcie naukowe, techniczne, ustrojowe, bo demokracja takim jest na pewno, ciągnie za sobą swój cień i ten cień nie jest łatwo rozproszyc. Może jest on ceną, którą musimy płacić za każdy krok zrobiony naprzód? Nie można się jednak powstrzymać od pytania, gdzie leżą granice tego, co się godzi czynić i nie godzi, czy takich granic już nie ma? Czy nikt już nie czuje wstydu wdzierając się w intymne życie innych? W którym miejscu informacja staje się bezwstydna? Zastanowić się także trzeba, kto jest bezwstydnym, czy ten, który zostaje obnażony, czy ten, kto obnaża. Zwróćmy bowiem uwagę na jeszcze jedną rzecz, może najistotniejszą. Oto w tej żądzy spektaklu, która pozwala nawet na czyny niegodne, przekracza się nie tylko dobry smak. Zaczyna się tu iść niebezpieczną drogą, traktując człowieka nie jak człowieka, istotę wolną, mającą prawo do własnej intymności czy to w bólu, czy w miłości, czy w chwili śmierci, lecz jako przedmiot, który wolno poddać ze wszystkich stron informatycznej obróbce, a to już groźne zjawisko.

ON IMMODESTY

This moralising essay indicates some specific, negative phenomena of our everyday life, which (however impenetrable for an univocal moral valuation) remain characteristic to the moral crisis of contemporary democratic systems. „Immodesty and baseness”, traced by the author, seem to be located somewhere on the cross-roads of an ethical and aesthetic valuation. There is something „disgusting” in the more and more ruthless violation of the right of privacy by media just to satisfy plebeian curiosity. There is something disgusting in the cynicism of the politicians: their statements, poses, behaviour don't harm anybody in direct way and don't openly break the moral rules, but in fact they impair a human dignity.